

Ks. Jan SOCHOŃ

## MÓJ DOM, MÓJ BLIŹNI, MOJA OJCZYZNA... Zapiski wiary

*Ojczyzna – przestrzeń terytorialna określona granicami, najmocniej odciska się w umyśle jako przestrzeń duchowa, wręcz osobowa, którą należy chronić i – często – odzyskiwać.*

### 1.

Urodziłem się u schyłku wieku i tysiąclecia. W kraju spiętym wpływami europejskiego Wschodu i europejskiego Zachodu. A to znaczy, że moja wrażliwość została obarczona – jak powiadał Norwid – „od wschodu – mądrością kłamstwa i ciemnotą zła, od zachodu zaś – kłamstwem wiedzy i błyskotnością”. Ale, na szczęście, otrzymałem też w darze świadectwo religijnego życia, płynące z serca matki Franciszki, ojca Józefa i ks. Piotra Bożyka, którzy podtrzymywali i wciąż podtrzymują we mnie płomień zaufania słowu Ewangelii.

Odtąd wsłuchuję się nie tylko w ślady Bożej bliskości, odkrywane w krajobrazach rodzinnych wasilkowskich stron, ale również wzbogacam się wartościami kultury śródziemnomorskiej, chroniącej rozumność i równoczesną pokorę wobec mistycznego żywiołu wiary. Jestem więc kimś utworzonym niejako z różnych elementów, scalonym jednakże najważniejszą z tajemnic, mianowicie tajemnicą Chrystusa – Słowa Odwiecznego, Wcielonego Syna Bożego. Mogę zatem rozwijać swoje człowieczeństwo, swoje twórcze możliwości i poprzez codzienne, wolne i świadome decyzje budować świat. Jego granice bywają zakreślane przez dwa „egzystencjalne wydarzenia”. Mam na myśli doświadczenie bliskości z drugim człowiekiem – z bliźnim, oraz doświadczenie Ojczyzny. Owe najbardziej delikatne ze wszystkich kwestii istnienia – sprawy kształtują mój sposób bycia. Wgląd w ich istotę sprawia, że sam sobie staję się bliższy, a przy tym głębiej rozumiem tych, którzy znajdują się obok mnie. I wiem, że próba bycia z innymi ludźmi, nawet z tymi najbliższymi, zawsze pozostaje próbą, czyli ciągłym ponawianiem znaków wierności, akceptacji i pięknej odmienności.

Trzeba (choć nie jest to łatwe) rezygnować z postawy, w której postrzegamy bliźniego jako rywala, przeciwnika, wroga. Co prawda w wielu miejscach Biblii spotykamy opisy rywalizujących ze sobą osób, ot chociażby perypetie Dawida i Absaloma, ale wskazują one tylko na konieczność zdwojenia uwagi,



albowiem w każdej chwili drugi człowiek może stać się podejrzanym, wywołującym w nas niepokój, uprzedzenie. Wówczas kruszy się jedność rzeczywistości i daje się słyszeć groźne wyznanie: odejdz ode mnie, szatanie! Tego rodzaju sytuacja jest zawsze możliwa, gdyż dysponujemy cudem wolności. W jej imię zadajemy ból, a nawet posuwamy się do zdrady. Wolność żłobi ścieżkę ewentualnych doznań radości, piękna, ale też żalosnego porzucenia bądź pychy. Dlatego właściwe korzystanie z daru wolności musi ogarniać wszystkich. Niestety, straciliśmy dzisiaj poczucie godności bycia wolnym. Co to oznacza?

Przede wszystkim – podstawowe zafałszowanie moralne, jakiemu ulegliśmy. Wolność pojmujemy jako narzędzie zdobywania przewagi politycznej, kulturowej, nawet estetycznej. Nie wsłuchujemy się w głos sumienia, nie mówiąc już o „gestach Bożego prawa”, lecz z głębi wolności wyprowadzamy działania swawolne, niczym nie skrępowane. Stąd bliźni przestaje być bliźnim i bywa przedmiotem określonej gry, gdzie nie zważa się na reguły etyczne, lecz tylko i wyłącznie na sposoby osiągnięcia zamierzonych celów. Siła wolności pozostaje już tylko siłą zniewolenia. Jednak tak nie sposób żyć. Dlaczego?

Wszyscy pozostajemy ludźmi uzależnionymi; uzależnionymi jednak nie w znaczeniu podległości różnego rodzaju namiętnościom, używkom czy przyzwyczajeniom. Uzależnia nas miłość. Niemal we wszystkim, co czynimy, jesteśmy zdani na pomoc, a przynajmniej obecność innych ludzi. W samotności nie moglibyśmy być i nigdy nie bywamy szczęśliwi. Dlatego i nasze zbawienie ma wspólnotowy charakter. Czyż do pomyślenia jest szczęście wieczności tylko i wyłącznie z Bogiem bez bliskości tych, których tu, na ziemi, ukochaliśmy? Przypuszczam, że nie. Wiele razy słyszę pytanie: proszę księdza, czy po śmierci będzie obok mnie mój syn, moja córka, mój mąż? Natychmiast żarliwie odpowiadam: ależ oczywiście. Bóg nie pragnie nas tylko dla siebie. Nie jest zaborczym plemiennym bożkiem ani – tym bardziej – kimś natrętnie domagającym się uwielbienia ze strony swych stworzeń. Bóg wsłuchuje się w ludzkie serce i sumienie. Nie działa poza ludzką naturą, to znaczy włącza każdego z nas w promieniowanie swojej miłości tylko za pomocą ludzkich znaków. Wciąż przypomina, że królem człowieka jest drugi człowiek, bo z jego powodu bywamy szczęśliwi. Ale my sami szybko dodajemy: owo „królowanie” odsyła do samego Boga – Króla wszechświata. Tak więc pomiędzy naszą ludzką miłość wstępuje miłość całkowicie pozbawiona egoizmu, miłość czysta. Tworzy jasny horyzont, w którego świetle przyglądamy się własnej miłości. Zawsze warto konfrontować swoje decyzje i myślenie z jakąś inną i ostatecznie najmocniejszą instancją – Bogiem, wszechmocnym w miłości.

Jest to możliwe, ponieważ Chrystus zjawił się pośród nas, w biedzie ziemskiego urodzenia; podjął mękę i śmierć, aby świat objąć zbawiennym gestem. Nie wszyscy przyjmują z radością ten dar. I pytają: czy godzi się uczynić jakąś istotę ludzką (co najmniej ludzką) niewłasnowolną ofiarą dla dobra innych?



Cóż, tak sformułowane pytanie określa postawę pytającego. Widocznie nie ma w jego sercu ufności w Chrystusową logikę działania. Przecież to sam Chrystus podjął decyzję o śmierci za nas, i to w sposób przez siebie samego wybrany: śmierć na krzyżu.

Wówczas zaczęliśmy istnieć w świecie odkupionym. Rozpoczął się proces przywracania pierwotnej piękności wszystkiemu, co jest. Wyobraźmy sobie, jak wyglądałaby rzeczywistość, gdybyśmy popatrzyli na nią sercem wyzbytym grzechu, wolnym od pożądliwości i skaz? Taki świat ofiarował nam Jezus. I gdy staramy się być wrażliwi na życzliwość płynącą z sakramentalnego źródła Kościoła, gdy niszczymy swój codzienny egoizm, wówczas dzieje się coś naprawdę fascynującego: przenika nas odkupieńcza łaska krzyża Chrystusowego i prowadzi w stronę źródłowych tajemnic...

## 2.

Naszą codziennością rządzi żywioł paradoksu. Nazywam go paradoksem bycia ze sobą. Oznacza to, że przed każdym z nas staje podwójna możliwość: możemy być w sensie fizycznym bardzo blisko, możemy nawet obejmować się wzajemnie, a mimo to pozostaniemy oddaleni, niemal sobie obcy. Bycie „z kimś” – paradoksalnie – jest byciem o s o b n o. Co najwyżej niekiedy staramy się przerzucić jakiś most: most zbudowany z mojej o tym drugim człowieku wiedzy, z mojego rachunku, możliwych korzyści i potencjalnych szkód, jakie jego sąsiedztwo mi wróży, lub z wymiany tego, czego się domaga on, na to, czego potrzebuję ja. Możemy, jak powiada Zygmunt Bauman<sup>1</sup>, pozostawić jeden drugiego w spokoju lub zastawiać jeden na drugiego sidła. Ale zjawia się też inna możliwość. Ten drugi może stać się naszym wybawicielem. Albowiem najpierw każe dokładnie przyjrzeć się naszemu sposobowi życia. I nagle okazuje się, że odkrywamy w swoim działaniu wiele rys, wiele etycznej chytrłości, milczącego podstęp. Gnani niewidzialną siłą egoizmu zwracamy się ku temu, co zaspokaja tylko osobiste pragnienia. Wydaje się, że wówczas trwamy w szczęściu, gdyż wszystko dzieje się zgodnie z prywatnymi potrzebami. A jednak, po chwili emocji i napięcia, zjawia się żal, niemal smutek. Drugi człowiek, którego dotychczas ledwie zauważaliśmy, zawiesza naszą radość. Czyni z niej korek dryfujący po drgającej tafli wody. Nie sposób wytrwać w takim napięciu. Pytamy: cóż zatem uczynić? Jak zmienić tę sytuację? A więc, otwórzmy gdziekolwiek Pismo święte. Wówczas usłyszymy: nie upadaj na duchu, unikaj postępowania ukrywającego sprawy hańbiące, nie uciekaj się do żadnych podstępów ani nie fałszuj słowa Bożego, lecz okazywaniem

<sup>1</sup> Por. Z. Bauman, *Etyka ponowoczesna*, Warszawa 1996, s. 95.



prawdy przedstawiaj siebie samego w obliczu Boga osądowi sumienia każdego człowieka (por. 2 Kor 4, 1-2).

Będzie to oczywiście wymagało ogromnego, naprawdę ogromnego wysiłku, niemniej jego podjęcie to znak autentycznego człowieczeństwa, budowania samego siebie z drogich kamieni. Raz jeszcze podkreślam sprawę najzupełniej podstawową: bez przyjaznego uśmiechu drugiego człowieka szczęście nie jest możliwe. Bez serdecznej akceptacji płynącej z twarzy innych – trudno spokojnie zasnąć. Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź jest łatwo uchwytna. Człowiek sam sobie nie może ofiarować niczego poza naturalną zgodą na swą osobową niepowtarzalność. Dopiero obecność innych osób sprawia, że odkrywamy szanse wzajemnego wspierania się w poszukiwaniu dobra. Zjawiają się też warunki umożliwiające ochronę i obronę przed złem, które czai się jak lew w zasadzce. Nic więc dziwnego, że wspólnota rodzi się wówczas, gdy widzimy w sobie nawzajem powód miłości, rację podejmowanych trudów, gdy zanika kupieckie spojrzenie, a rozwija się spojrzenie opiekuńcze i przebaczące.

Są to sformułowania nader ogólne i – przyznaję – abstrakcyjne. Niemniej jednak każdy z nas potrafi skonkretyzować je osobistymi przeżyciami i doświadczeniami. A nawet najbardziej prywatnymi marzeniami. Moje marzenia wiążą się z takim oto faktem: od dzieciństwa pragnąłem zasłużyć na przyjaźń innych ludzi. Bałem się i wciąż się boję osamotnienia, które żłobi w sercu trwałą ranę, umacnia sceptycyzm i pychę, i które sprawia, że – wedle potocznego sformułowania – nikt nam do niczego nie jest potrzebny. Osamotnienie zamyka nas na łaskę Chrystusa. Serce okrywa rozpaczą. Dlatego język mój wesoło krzyknął w chwili, gdy odczułem smak pierwszych gestów przyjaźni, smak pierwszej modlitwy, smak liturgii. Gdy doświadczyłem dojmującego przeżycia bliskości z tymi, którzy ożywili we mnie wrażliwość na cierpienie, ból, zło. Gdy zacząłem przewycięzać ograniczenia młodzieńczych naiwności i uczyć się odpowiedzialnego postępowania. Piszę: uczyć się, albowiem proces ten, na szczęście, nadal trwa...

### 3.

Drugi człowiek wraz z wartością stanowioną przez Ojczyznę tworzą nasz ethos, czyli charakter, najgłębszy znak człowieczeństwa. Ale czym jest pojęcie Ojczyzny? Czyżby niepotrzebnym balastem odziedziczonym po rozchmurzonych romantykach XIX wieku? Chcąc żyć autentycznie, godnie, nie musimy pieczętować swych twarzy patriotycznymi barwami. Ojczyzna, jak zapewniano, była kiedyś „zbiorowym obowiązkiem”. Dzisiaj, co najwyżej, błyszczy jak miedziany pieniążek. I w pewnych sytuacjach dobrze, że tak jest. Kiedy na przykład znajdujemy się poza granicami stron ojczyźnianych, wiele razy przychodzi nam rumienić się, wstydliwie chować oczy. W latach siedemdziesiątych



i osiemdziesiątych częściej niż obecnie bywałem w Paryżu. Ileż razy słyszałem rymowane okrzyki: Polaki – pijaki. Ileż razy milczeniem przyznawałem się do polskości. Niekiedy też szturmowano mnie hasłami: Polak – katolik, Maryjny pacholek, służalczyk papieski. A więc Ojczyzna to rzeczywistość o podwójnym ostrzu: rani również najzagorzalszych zwolenników. Ponówmy jednak pytanie: czym jest Ojczyzna? Żeby rozpoznać jej sens, popatrzmy na łacińskie słowo „patria”. Oznaczało ono pierwotnie rzecz ojcowską, dziedzictwo ojca, ojcowiznę. A więc coś, co otrzymujemy wraz z pojawieniem się na świecie, mówiąc dokładniej: wraz z pojawieniem się w kręgu rodzinnej wspólnoty. Moja patria to najpierw świat wyobraźni zaszczerpiony przez najbliższych, uporządkowany przez obcowanie z tradycjami kultury pozasąsiedzkiej, religijnej czy przywiązywanie do ojczystej przyrody.

Ojczyzna – przestrzeń terytorialna określona granicami, najmocniej odciska się w umyśle jako przestrzeń duchowa, wręcz osobowa, którą należy chronić i – często – odzyskiwać. Ona nie tylko inspiruje, ale przede wszystkim zobowiązuje i wzywa, bo jej nieszczęście pozostaje większe od mojego. Jest ojczyzną zniewoloną, w kajdanach, jak alegorycznie rzecz całą przedstawiamy. Dlatego powinniśmy się starać o jej wyzwolenie, co jest równoznaczne z wyzwaniem siebie. Taka bowiem jest prawda, że w czasach niewoli wolność poczyną się jedynie w tych, którzy dążą do wyzwolenia ojczyzny<sup>2</sup>. Pomny na powyższe rozstrzygnięcia, ośmielam się przyznać, że jestem kimś wolnym, albowiem wciąż domagam się wolnej ojczyzny. Lecz pozostaje ona nadal ideą, egzystencjalnym marzeniem. Platon mógłby rzec: wszyscy tęsknimy do bliskości ze światem doskonałości – tęsknimy, gdyż w przeszłości doświadczaliśmy absolutnego dobra. Teraz, z dziwnie znanych powodów, musimy trudzić się i walczyć o utracone wartości.

Niestety, nie pamiętam wolnej Ojczyzny. Od młodości byłem rozdarty pomiędzy dwiema Ojczyznami: tą oficjalną, narzuconą przez komunistyczny aparat ucisku, i Ojczyznę przeszłości, zamkniętą w sercach rodziców, ukrytą na kartach zabronionej literatury i w sztuce, wreszcie Ojczyznę, o której rzeczywistym istnieniu delikatnie szeptały kościelne ambony. Ale owa „podziemna Ojczyzna” dawała siłę, wzmacniała nadzieję, że osiągalne są prawda i szczęście, a czołgi i broń nie są w stanie pokonać miłości, patriotycznych uniesień i wiary. Drogi przemocy nie trwają wiecznie...

---

<sup>2</sup> Por. ks. J. Tischner, *Polski młyn*, Kraków 1991, s. 57.



## 4.

Zauważono, że trójce pojęć „rodzina – mieszkanie – dom” odpowiada z uderzającą symetrią trójka „naród – państwo – ojczyzna”. Państwo to mieszkanie narodu – ojczyzna to jego dom<sup>3</sup>. A czym jest dom? Trudno odpowiedzieć, albowiem wszyscy żyjemy w czasach swoistego głodu mieszkania. Nauczyliśmy się przy tym, że kto nie ma gdzie ułożyć się do snu, z trudem chroni miłość i wspólnotę. Stąd potrzeba domu pozostaje jedną z najważniejszych potrzeb człowieka. Nie chodzi tutaj o dom byle jaki: zresztą byle jaki dom nie byłby domem we właściwym sensie tego słowa. Podobnie jak w nazwie „Kościół” kryje się wielkie treściowe bogactwo, tak i „dom” mieści w sobie znaczenie zewnętrzne i wewnętrzne. W pierwszym z nich jest to po prostu jakaś skupiona, wydzielona przestrzeń, własna kryjówka, gdzie czujemy się „u siebie”. Tak pojęty dom, a właściwie mieszkanie, jak strony świata osłania przed złem rzeczywistości, przynosi ochronę. Dopiero jednak ludzkie serce może uczynić z wybranego przez siebie miejsca autentyczną przestrzeń skupienia i porządku. Dzieje się tak, gdyż wprowadza w materię element duchowy. W ten sposób ożywione mieszkanie jest już domem, a więc czymś jednoczącym rozproszonych, wyzwalaającym poczucie szacunku, nawet czci i uwielbienia. Każdy z nas doświadczał chwil, kiedy po dłuższym pobycie „poza domem” powracał uniesiony tęsknotą i gdy tylko przekroczył próg, natychmiast całował z przejęciem kuchenny stół albo przęsło łóżka.

O posiadaniu prawdziwego domu świadczy jego cecha najbardziej istotna: etyczność. Cóż to oznacza? Przywołam scenę rozmowy dwóch dziewcząt: „Wiesz, Aniu” – mówi jedna z nich. „Zazdroszę ci twojego domu, choć wcale nie jest taki piękny i przestronny jak nasz”. „Dlaczego” – pyta zdziwiona koleżanka. „A wiesz, u was jest jakoś tak w domu miło, ciepło, dobrze. U mnie natomiast rodziców prawie nigdy nie ma. Często jestem sama i czuję się tak, jakbym w ogóle nie miała domu”. Powyższa rozmowa wskazuje na zadziwiająco trwałość idei domu jako duchowego monolitu. Pomimo zawsze możliwych konfliktów i zdrażeń między mieszkańcami domu, utrwała on w nich poczucie solidarności i wzajemnego wsparcia.

Gdy natomiast zdarza się, że nie zapewniono nam właściwie pojętego domu, wówczas sami wyruszamy na jego poszukiwanie. Owo poszukiwanie staje się wtedy naszym sposobem życia. Walką o samego siebie, o własne szczęście. Niekiedy też, mając najprawdziwszy dom, odczytujemy w sobie tęsknotę do innej jego postaci. Stanowi ją dom miłości osobistej. Takiego rodzaju dom stwarzają nadzieje kochających się osób. Przypomnijmy, że pierwszą czynnością Tobiasza i Sary, zaraz po uroczystościach weselnych, była

<sup>3</sup> Por. U. Schrade, B. Wolniewicz, J. Zubelewicz, *Dom jako wartość duchowa*, „Znak” 1996, nr 4, s. 91.



modlitwa o ocalenie rodzącej się miłości, modlitwa mająca miejsce w pobliżu ogniska – znaku domowej zażyłości. Gesty uczucia (są one niezbędne) chroni i zabezpiecza skrytość. Nikt nie obnosi się i nie okazuje publicznie swych najbardziej intymnych doświadczeń. Dlatego dom miłości osobistej potrzebuje zamkniętej przestrzeni, niewidocznej dla podglądających oczu. Odsłaniamy się jedynie przed tymi, których kochamy. W każdym, jak widzimy, przypadku dom niesie wartości, bez których życie nie byłoby życiem osób poznających, tęskniących, dążących do prawdy, dobra i piękna.

## 5.

Nie moglibyśmy mieszkać w domu, gdzie znajdują się ludzie przewrotni, pełni pychy i chciwości. Nie moglibyśmy też radować się Ojczyzną, w której rządzą autokraci, posługujący się totalitarnymi sposobami ucisku. Istniejące wzajemne zależności pomiędzy domem a ojczyzną wymagają troski, najróżniejszych zabiegów wzmacniających. Okazuje się, że budowa autentycznego domu (trwająca przez całe życie) jest równocześnie budowaniem Ojczyzny. Tylko mądrość może sprostać tak wyznaczonym zadaniom. Mądrość otwarta na przebaczącą bliskość Boga. Mądrość z dumą śpiewająca:

Szczęśliwy, kto nie chodził za radą bezbożnych  
i na drodze grzeszników nie powstał,  
i w gromadzie naśmiewców nie siedział.

Ale w prawie Pańskim ma upodobanie,  
i naukę Pańską bada w dzień i w nocy.

(*Psalm 1*, tłum. Cz. Miłosz)

Albowiem Bóg w Chrystusie zechciał zamieszkać na ludzkiej ziemi. Ujawnił swą imponującą miłość i zaangażowanie w ziemskie sprawy. Pomimo grzechu wielu podążał najpierw w słupie obłoku, aż do domu obietnicy, później zaś jako unізony Baranek na ziemską Golgotę. I choć nie jest związany z żadnym budynkiem, to jednak zjawił się w świątyni Izraela, otwartej – o czym musimy pamiętać – dla wszystkich narodów, które zechcą podążać Bożymi śladami. W Kościele cały świat może dostąpić szczęścia przebywania w domu sakramentalnym, nigdy niezniszczalnym, nie opanowanym ostatecznie przez szatana.

Życie Chrystusa jednakże dotknął całkowity brak domu. Nie przyjęto Go już w chwili urodzenia. Nigdy właściwie nie zaznał radości przebywania w miejscu, gdzie by głowę mógł skłonić (por. Łk 9, 58). Ale będzie czynił rzecz błogosławioną. Z miejsc swej obecności z ludźmi będzie czynił miejsca nawrócenia i żarliwej modlitwy. Apostołowie, nie bez duchowego



wysiłku, porzucali rodziny, aby pójść za Nim. Powoli nabywali mocnego przekonania, że w domu Ojca Niebieskiego jest mieszkań wiele. Zrozumieli też, iż osiągnięcie szczęścia zjawi się, gdy sami dadzą świadectwo wewnętrznego pokoju i zgody. Gdy odważą się – w imię Chrystusa – na przyjęcie ościenia męczeńskiej śmierci.

Ich los winien być i naszym losem. Nie chodzi o to, że mamy – nagle – spodziewać się niebezpieczeństw i cierpienia, choć nie trzeba takich przeżyć wykluczać. Chodzi raczej o to, żeby z naszej wiary wynikały konkretne dobre czyny i decyzje. Abyśmy nie pokładali nadziei jedynie w dobrach tego świata, w ziemskim, choćby najszcześniejszym domu. To wygląda na ironiczny paradoks. Ale przecież nie osiągamy pełnych radości nieba teraz. Zamieszkiwanie Boga w nas urzeczywistni się dopiero w chwili zmartwychwstania. Wówczas znajdziemy się w promieniowaniu najpiękniejszej z ojczyzn – Ojczyzny nie kończących się darów Miłości.